

Popojedynek

26 października 2012

Wychodzimy w samo południe. Drzwiczki saloonu chwilę wahają się między wnętrzem a zewnątrz, żeby w końcu wybrać neutralność, dokładnie pośrodku. Słońce nieruchomieje w zenicie. Nic nie rzuca cienia, a doskonała świetlistość ulicy dodaje uroku całej scenie. Wokół jest pusto, tylko gdzieś tam rąbek twarzy wygląda zza drewnianej okiennicy. Długo czekaliśmy na ten dzień – nasz prywatny Armageddon. Ścigałeś mnie parę ładnych miesięcy, aż w końcu mój koń padł i ty dopadłeś mnie w tym zapomnianym przez Boga miasteczku, którego nazwy nawet nie warto wymieniać.

Reprezentujesz prawo i porządek. Wierzysz w sztywno obramowany, kwadratowy świat i alfabetycznie skatalogowane społeczeństwo. W gumową miłość z automatów, prognozę pogody i krachy na giełdach. Papieża Polaka, bilety z parkometrów, promocje w sklepach, nominał na banknotach i procesy sądowe. Ja wierzę w piruety metafor, w splotach włosów palce, trzydniowy zarost i tango immortale. Głębokie spojrzenia, miłość od pierwszego oddechu, myśli typu cumulus. Wolność w skrzydłach i akrobatyczne skoki w nieświadomość. Chropowatość kory drzew i w sen na jawie.

W doskonałą wertykalność horyzontu.

Stajemy naprzeciw siebie. Nasze oczy spotykają się, a dłonie trzęsą nerwowo. Z ust sączy ci się jad. Tłuste krople wytapiają w ziemi miniaturowe kratery u twoich stóp. Samotny wiatr przetacza ulicą kulę suchych krzaków i tumani kurz, po czym znika ze wstydem, jak nieproszony gość. Gdzieś skrzypi łóżko i słyszać przyspieszone oddechy kochanków. Bezruch powietrza i nieznośny skwar sprawiają, że czas zaczyna lepić się do ścian budynków.

My też to czujemy. Czekamy.

– Zjem cię, szeryfie – mówię i oblizuję suche wargi. – Zatańczymy?

Ty uśmiechasz się półgębkiem i obficie strzykasz jadem. Promień słońca kreśli sinusoidę na wypolerowanej miedzi odznaki na twojej piersi. W ułamku sekundy, nim krople koloru zgniłej zieleni dotykają ziemi, sięgasz po broń. Wyciągasz od razu asy z rękawa. Walisz we mnie serią paragrafów, dwoma arkuszami przepisów BHP i doprowadzasz przechodzeniem przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Nauczony doświadczeniem robię przewrót w przód i trzy podskoki. Jeden z paragrafów rozcina mój policzek. Gorąca krew ścieka na utytłaną błotem koszulę. Krzyczę trzy krótkie wersy, później trzy długie i znowu trzy krótkie. Zaczynam szaleńczo wirować na jednej nodze, po czym znikam z delikatną implozją powietrza. Chwilę się waham między wewnątrz a zewnątrz. W końcu wybieram neutralność, dokładnie pośrodku.

Ciebie trafia szlag, atak serca i dopada cię samotność. Padasz na kolana i dogorywasz. Szare chmury zaczynają płakać. Bóg kiwa ze zrozumieniem głową i wysyła oddział Apaczów, żeby rzucili twoje wnętrzności duchom na pożarcie.

Ludzie wychodzą ze swoich szufladek, wciąż lekko oszołomieni. Gdzieś w oddali koń rzy w dżdżu i drży osika.

Autor: rootsrat

Nadesłano do „Wolnych Mediów”